Nr. 1 (1615) Warszawa, 5 stycznia 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 7380.

Przypominamy o odnowieniu przedpłaty na rok 1912.

POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE.

Muzyka Chochoła.

Sto lat minęło od owej chwili, gdy zapatrzeni w orły napoleońskie, oczekiwaliśmy godziny cudu, cudu — zmartwychwstania!

Rokiem urodzaju nazwał nasz poeta ó w r o k: tyle nadziei posiał on w naszym kraju, tyle bezgranicznej wiary i uniesienia, tyle zrodził bohaterstwa!

Jak odgrom dalekiej burzy, od której piorunów rozwidnić się miał świt w naszym kraju, nadciągał rok 1812, znamionując niesłychane, fantastyczne stopienie się tęsknot, upragnień i aspiracji narodowych z prądem zdarzeń rzeczywistych. Najzuchwalsze marzenia oblekały się w krew i ciało, ryły się w ogniu i w spiżu. Łoskot serc, kipiących entuzjazmem, wtórował hukowi armat, wstrząsając lądy i morza, trony i mocarstwa.

Aż kiedy wreszcie stanął u granic Polski i nad Ławnicą jej pobojowisk, nad obszarami jej niedoli, rozpostarł od zachodu na wschód swe orle, potężne skrzydła, cała ludność kraju zawarła wszystkie uczucia swe, wszystkie porywy, wszystką radość i otuchę — w jednym żywiołowym okrzyku:

— Bóg jest z Napoleonem, Napoleon — z nami!

Dziś, z odległości stulecia patrząc na ludzi owych oraz ich nadzieje, cóż spostrzegamy?

— Zgliszcza, popioły, cmentarzyska...

Ani jednemu z radosnych pragnień nie sądzone było się ziścić. Nadzieje wszystkie legły w proch. Wszystkie rachuby zawiodły. Rok ów, który się rozpoczął pod znakiem Maratonu, skonał pod całunem Cheronei. Sprawa nasza, która na chwilę spoczęła w rękach półboga, wypadłszy z rąk jego, z pod stropu potęgi, stoczyła się na samo dno klęski i niemocy.

Przed stu laty największą siłę zbrojną, najpotężniejsze państwo mieliśmy za sobą i — ponieśliśmy porażkę.

Dziś, całą straszliwą przewagę sił zewnętrznych mamy przeciwko sobie; na nigoko poza sobą, liczyć nie mamy prawa; na własnych barkach dźwigamy troskę o swój byt, o życie narodowe, o kulturę, o język, o całą wreszcie przyszłość.

Własnym atoli, siłom zdani — mamy-ż rozpaczać? Mamy-ż wątpić o sobie?

Położenie nasze jest niezawodnie groźne; przyznać jednak trzeba, że jeśli wówczas, przed laty stu, widoki zwycięztwa otwierały się przed nami wspanialsze, to zato dzisiaj niebezpieczeństwo upadku powszechnego stało się nierównie mniejsze. Wzmogła się niezaprzeczenie żywotność narodu. Wzrósł hart jego i wytrwałość. Ojczyzna nasza, ulegając podziałom i rozbiorom, straciła wiele na rozległości w porównaniu z granicami dawnego posiadania, ale wielekroć zato zyskała na głębi, zapuszczając mocne korzenie w nieśmiertelny grunt — ludowy.

Nie poddawajmy się przygnębieniu! Stańmy na gruncie owym, jako na niepożytej opoce, twardo i silnie!

Prawda, że ponad nią, ponad Polską ludową bujne krzewią się chwasty, usiłując zagłuszyć zdrowe ziarna i zdrowe pędy przyszłości. Ale, przecież wcześniej lub później, ulec one muszą niechybnej zagładzie. Nie z głębnej bowiem wyrastają skiby, lecz tkwią u samej powierzchni. Wiatr je przywiał na piaski, i wiatr je z piaskiem uniesie.

Śród chwastów owych, przysiadają dzisiaj na chwiejnych gałązkach rozćwierkane ptaki i, szczebiocąc przekornie zastanawiają się nad pytaniem:

— Bawić się? Czy się nie bawić...? Tańczyć, nie tańczyć...?

Ha! jeśli innych w dobie obecnej zagadnień nie mają, to niechaj bawią się! to niechaj tańczą! i niechaj przygrywa im — muzyka Chochoła: „Lewą nogę wyciąg w zad, prawą nogą zakreśl krąg, powyjmuj im kosy z rąk.."

Przegląd Polityczny.

(Amerykanizacja Chin.—Dr. Sunjatsen w Szanghaju — Plan przyszłego ustroju — Groźby interwencji — Rosjanie w Persji.)

Rok ubiegły zaznaczył się w Europie całą serją alarmów, a w Azji wybuchem największej w dziejach świata rewolucji. Wślad za paniczną trwogą, wywołaną na lądzie europejskim przez posuniętą do ostatnich granic gotowość wojenną Francji, Niemiec i W. Brytanji, nastąpiło względne zacisze rokowań, które stwierdziły w końcu porażkę dyplomatyczną Niemiec, kryjąc w sobie zarazem zapowiedź nowych trudności. Tymczasem z dalekiego Wschodu łuny i grzmoty nawałnicy Chińskiej poczynają ściągać ku sobie powszechną uwagę. Coraz jaśniej tworzy się przekonanie, że stoimy w przededniu wypadków epokowej wagi. Uruchomienie polityczne olbrzymiej masy 400 miljonów Chińczyków może radykalnie zmienić warunki równowagi świata; jednocześnie, z upadkiem dynastji Mandżurskiej znika bodaj ostatnie oparcie tego systemu rządzenia, który sławił był wymownemi usty hr. Józef de Maistre na gruzach Wielkiej Rewolucji. Sto lat mija niebawem od czasu, gdy „święte przymierze" mocarzów środkowej i wschodniej Europy we wszechpotędze swoich miljonowych armji stanęło na straży przywróconej we Francji monarchji. Pomimo licznych w ciągu zeszłego wieku kataklizmów, mimo tryumfalnego pochodu demokracji mieszczańskiej poprzez barykady napół feudalnych urządzeń, stan rzeczy w Europie środkowej i wschodniej niewiele się zmienił. Ale za jej plecami zachwiały się trony perskich i chińskich samowładców. Olbrzymie Państwo Niebieskie, ten symbol doskonałego zastoju, odgrodziwszy się od nas murem chińskim i przestrzenią bezludnych obszarów, w ciągu ostatnich dziesięcioleci ulega wyraźnym wpływom amerykańskim, które promieniują potężnie poprzez Ocean Spokojny. I oto w oczach zdumionego świata dokonywa się jedna z najdziwaczniejszych i najmniej oczekiwanych przemian socjologicznych: *amerykanizacja Chin.* Trzeba przyznać, że pominąwszy wzory europejskie i czerpiąc bezpośrednio ze skarbnicy Nowego Świata, tworząca się dziś federacja chińskich Stanów Zjednoczonych odnosi stąd czystą i rzetelną korzyść. Amerykanizacja Chin jest aktem niezmiernej wagi jeszcze dlatego, że konstatuje w sposób niezbity i dosadny niższość ekspansji europejskiej wobec młodych, bujnych i żywotnych społeczeństw anglosaskich drugiej półkuli. Poraz pierwszy się zdarza, że przodująca w tej dziedzinie nasza część świata zostaje tak nieodwołalnie wyparta ze swego zaszczytnego stanowiska; należy więc oczekiwać nadal coraz częstszych i donioślejszych aktów przewagi Ameryki na Europą, przewagi, której pierwszym jaskrawym znakiem jest dzieło nawskroś zamerykanizowanego Chińczyka, dr. Sunjatsena, inicjatora i twórcy nowej republiki.

Sunjatsen przybył w tych dniach do Szanghaju, witany z uniesieniem przez miljonowe tłumy swych uczniów i stronników, którzy pośpieszyli natychmiast ofiarować mu godność prezydenta. Zarazem zerwano kunsztowne układy z pełnomocnikami Juanszikaja i wojska republikańskie w Hankeu rozpoczęły znów zawieszone działania wo-

ECHA PRAWDY.

Dwa pokolenia.

Nic nie poucza nas tak wymownie o kierunku, w jakim posuwa się bieg świata, jak zestawienie i porównanie ze sobą dwu bezpośrednio następujących po sobie pokoleń.

„Ojcowie i Dzieci" — oto nazwa dramatu, oto temat najciekawszego konfliktu, jaki nieustannie rozgrywa się w pochodzie ludzkości.

Konflikt ów do najspokojniejszych snadź już dociera zakątków w naszej epoce, skoro polem jego stało się zacisze *Kurjera Warszawskiego*, tak bardzo od wszelkich starć i burz przekonaniowych odległe.

A jednak na łamach tegoż *Kurjera* (p. Nr. noworoczny!) konflikt ów zarysował się w linjach niezmiernie śmiałych.

Oto hr. Stanisław Tarnowski, prezes Akademji Umiejętności, były profesor Wszechnicy Jagiellońskiej zabiera głos w sprawie trzechsetnej rocznicy zgonu Piotra Skargi. Przemawia uroczyście, z namaszczeniem. Nawołuje do obchodu rocznicy cały naród. Egzaltuje wielkość Skargi, jako człowieka, jako polityka, jako patrjoty, jako jezuity, jako Polaka. Ani mu w myśli poslanie, by stanowiska te mogły się nawzajem wykluczać. Aby te tytuły do sławy mogły się nawzajem przekreślać. On pragnie ze wszystkich upleść wieniec chwały na skronie złotoustego kaznodziei. Zasługi położone dla Rzymu utożsamia z zasługami dla Polski. Tak uwieńczonego chwałą i zasługą wynosi on na przenajwyższy w polskim panteonie pjedestał; równa go z królami, hetmanami. W kościele pamiątek narodowych, pamiątek najszczytniejszych, twierdzi hr. Tarnowski — „obok miecza Chrobrego, obok ksiąg praw Kazimierzowych, obok ślubnego pierścienia Jadwigi, obok buńczuków, zdobytych przez Jana III i czerwonej czapki Kościuszki, godzien jest zająć miejsce r ó ż a n i e c a l b o b r e w j a r z S k a r g i".

Człowiek z takim przeznaczeniem, jak Skarga, i w jego czasach, człowiek powołany do tego, iżby był ostatnim i najsilniejszym głosem przestrogi i upomnienia, zdaniem Tarnowskiego, musiał być... księdzem... „Gdyby, dowodzi hrabia, Skarga był człowiekiem świeckim tylko, gdyby był przemawiał jedynie w imię ojczyzny, honoru i uczciwości, nie byłby wydobył z siebie tyle zapału i tyle natchnienia, ile ich znalazł w swoim uczuciu religijnym..."

Ale oto, zaledwie przebrzmiał namaszczony głos starego profesora, występuje na łamach tegoż *Kurjera* Ignacy Chrzanowski, na katedrze literatury polskiej w Krakowie — Stanisława Tar-

jenne, spotykając się tym razem z bardzo słabym przeciwdziałaniem pułków cesarskich. Cechą zresztą swoistą i bardzo ciekawą rewolucji Chińskiej jest obustronna skłonność do układów, zgodna zresztą z wyrobionym w tym kraju od wieków zmysłem dyplomatycznym. I teraz więc pomimo urzędowego zerwania rokowań, czynione są w sekrecie próby porozumienia pomiędzy obu najwybitniejszymi mężami Chin: Juanszikajem z jednej, i Sunjatsenem z drugiej strony. Należy zauważyć, że dwaj ci reformatorzy różnią się znacznie co do formy przyszłego rządu: Juanszikaj, reformator wojskowy, europejczyk z wychowania, monarchista parlamentarny, pragnie zachować dynastję z władzą czysto nominalną; Sunjatsen, federalista amerykański, chce zorganizować związek krajów autonomicznych rządzonych przez własne parlamenty z jednym ogólnym Zgromadzeniem Narodowym na czele i z prezydentem obieralnym przez głosowanie powszechne. Trzeba przyznać, że ta ostatnia idea wydaje się ze wszechmiar stosowną w kraju jak Chiny pełnym dążeń odśrodkowych i nazbyt ogromnym dla centralnego aparatu, choćby w najdoskonalszej formie.

Idea republikańskich Stanów Zjednoczonych trafia też do przekonania burżuazji chińskiej, która, wolna wreszcie od rygorów i szykan biurokratycznych, będzie mogła rozwinąć się w sposób odpowiedni do swego społecznego znaczenia i niezaprzeczonych zdolności twórczych.

Lecz, jak się zdaje, rozwój ekonomiczny i polityczny odnowionego Państwa Chińskiego nie jest na rękę Japonji, zdecydowanej przeszkodzić reformie republikańskiej Sunjatsena. Gabinet japoński odbył serję specjalnych posiedzeń w tej sprawie z udziałem najwybitniejszych w kraju osobistości, między którymi, obok przemysłowców i bankierów, nie brakło i bohaterów ostatniej wojny...

Przeważył pogląd, że chiński republikanizm odbić się może w Mandżurji w sposób niekorzystny dla Japonji. „Interwencja japońska — pisze z tego powodu *Temps* — może stać się fatalną nietylko dla sprawy, bronionej przez Sunjatsena, lecz i dla ogólnej równowagi politycznej na Dalekim Wschodzie. Mamy nadzieję, że znani z przezornego rozumu japońscy mężowie stanu zechcą to wziąć pod uwagę".

Jak było do przewidzenia, Persja skapitulowała wobec ultimatum rosyjskiego, popartego zajęciem Tebryzu; nie wpłynęło to jednak bynajmniej na poprawę sytuacji, co było również do przewidzenia. Wprawdzie Rosja poczyniła Persji pewne ustępstwa, z uwagi na niepokój opinji angielskiej, alarmy w Niemczech i ruchy wojsk tureckich w kierunku Urmji; z ową dążnością do kompromisu, wbrew nawoływaniu pism szowinistycznych, łączy się ściśle wizyta p. Sazonowa w Paryżu, gdzie konferował z nim poseł sirdar Assard w obecności francuskiego ministra spraw zagranicznych. W następstwie tych narad Rosja zdecydowała się zmienić kilka punktów ultimatum, zwłaszcza, że p. Morgan Shusler otrzymał żądaną dymisję, a patryotycznie nastrojony medżilis został ukazem regenta rozwiązany.

Biegunowi wrogowie demokracji.

Mamy narodową demokrację, mamy społeczną demokrację, lecz brak nam poprostu, zauważył niedawno jeden z wybitnych publicystów naszych, — demokracji bez przymiotnika.

Jest to uwaga głęboko słuszna; głęboko zarazem bolesna, lecz słuszna.

W żadnym kraju przed demokracją nie stoi otworem pole tak rozległych zadań, jak w Polsce. I w żadnym kraju, na tym rozległym polu, nie czyni się tak mało, i tak niedbale, tak od niechcenia — jak u nas.

„Wiadomo powszechnie, — powiada tenże pu-

nowskiego następca i kontynuator. Jedno zaledwie pokolenie, a jak wielkie różnice ich dzielą! Prof. Chrzanowski już się o sto mil oddalił od tych staroświeckich patrjotów, którzy „Złoty ołtarzyk" przepasany różańcem Skargi, uważali za najcudniejszą piśmiennictwa polskiego ozdobę. Ceni on w Skardze kryształową czystość serca, ale nie przeocza ogromu win, jakie słońce jego zaśmiecają. Owszem, zastanawia się „pod jakim warunkiem jubileusz Skargi może być obchodem powszechno-narodowym?" Fanatyzm i nietolerancja — oto dwie rysy, które w oczach krytyka współczesnego każą posągowe oblicze kaznodziei. „Z dzisiejszego stanowiska — słusznie podkreśla Chrzanowski — fanatyzm wyznaniowy i nietolerancja religijna — to nieszczęście, to przekleństwo, to plama na dziejach ludzkości. I powiedzieć sobie trzeba jasno i otwarcie (są dalsze słowa Chrzanowskiego), że od tej plamy i Skarga nie jest wolny. Wespół z całym zakonem jezuitów, ponosi odpowiedzialność za wszystkie okropne skutki nietolerancji, za pogwałcenie tolerancyjnej konfederacji warszawskiej, za zerwany sejm r. 1606, za wygnanie arjan, — aż do hańby toruńskiej i sprawy dysydenckiej w XVIII wieku!"

Różnica lat kilkudziesięciu, jakże wielką przedzieliła odległością sądu oraz odległością idei — tych dwu, stających przed postacią Skargi, profesorów.

Gdy jeden klęka z uwielbieniem, by ucałować różaniec Skargi, drugi—przed nim już wzdrygnąć się musi, jako przed widmem hańby.

„Poddani—cieszcie się!."

Sprawa hucznego karnawału, jako objawu „żądzy życia" wyciska długie artykuły w prasie endecko-realistycznej. Bo zaiste jest ona chyba pokarmem duchownym rzeszy, niby drób w kojcach zamkniętej, do której tylko przez wązkie szczeliny między prątkami światło dochodzi.

Co owe zamknięte kury i indyki wiedzieć mogą o „żądzy życia"?

Bale tylko i zabawy huczne—dla nich mogą być objawem tej żądzy, jej rozkwitem i zadowoleniem a gdakanie i kręcenie się w kółko dowodem bujności życia narodowego.

Człowiek, po za kojcem stojący może jedynie z litosnem zdumieniem patrzeć na tę ogłupiałą ciemnotę gromady.

Ale może nie wszystkim kogutom wystarcza „żądza życia" jako podnieta do tańca.

Wtedy oszałamia się ich frazesem współczucia dla nędzy wśród nieszczęśliwych, (koniecznie nieszczęśliwych) szwaczek, pieśnią o ruinie sklepów bławatnych i handlów kolonialnych.

Tańczcież tedy obywatele! popierajcie prze-

blicysta, — że owa właśnie demokracja bez przymiotnika rządzi na potężnym i promieniejącym cywilizacją zachodzie, dochodzi gwałtownie do władzy w południowej Europie, rewolucjonizuje Azję, a u najbliższych naszych sąsiadów występuje w postaci rosyjskich kadetów i niemieckich wolnomyśl-[illegible].

Gdy jednak na Zachodzie, dla narodów łacińskich, anglo-saskich lub germańskich demokracja staje się podstawą dobrobytu, wolności, rozrostu i przewagi, dla nas jest ona podstawą życia, jest ostatnią deską ocalenia.

Polska zamieni się na Polskę ludową, albo przestanie, jako naród istnieć: innej drogi przed sobą niema. Historja przyparła nas do samej krawędzi upadku; jeszcze krok jeden, nie! wystarcza zostać w miejscu, aby runąć w nicość: obce fale przerastają nam głowy, i jednocześnie grunt wydzierają z pod nóg.

Anglja, Francja, Stany Zjednoczone żeglują w przyszłość po spokojnych wodach, i płyną pancernymi okrętami. Nasz los ojczysty spoczął w kruchej łupinie, a przepłynąć musimy burzliwe morza.

Dwie fale, nacjonalizm pruski i rosyjski, nacierają na nas od wschodu i zachodu, jak rozhukane żywioły niszczycielstwa; z wewnątrz toczy nas i rozbija fala trzecia: nacjonalizm żydowski.

W obliczu trzech owych żywiołów, wszystkie siły na zgubę naszą wytężających, jakiejż lekkomyślności, jakiegoż, zdawaloby się, opieszałstwa trzebaby ze strony Polaków, aby imieniem przyszłości nie odwołać się do narodu w pełnym składzie jego czynników i sił, aby nie sięgnąć do jego pokładów najgłębszych, wszystkich warstw nie wstrząsnąć, nie uruchomić, nie wezwać na zagrożone stanowisko?

Czyż może nam nie zależeć na tym, aby w dniach walki i niebezpieczeństwa, gdy ważą się losy narodu, jaknajwiększa liczba jednostek w kraju czuła się obywatelami, zainteresowanymi w losach ojczyzny?

Wszystkie siły dobyć musimy z narodu, aby nie upaść, aby przetrwać. Wykuć z nich musimy, jak z hartownego żelaza, narzędzia pracy, bo praca na dzisiaj stała się jedyną naszą bronią; jej pole jedynym dla nas polem walki. Nie mamy granic, któreby posiadłości nasze zamykały, ani słupów spiżowych, któreby granic tych strzegły. Polska cała żyć winna dzisiaj i żyć tylko może w piersiach Polaka, ale niechaj-że żyje w piersiach każdego Polaka, w czynie jego rąk, w polocie myśli, w natchnieniu uczucia. Całą energję społeczną obudzić, podnieść, zorganizować, opancerzyć nią naród jak zbroją, władać nią jak młotem, jak kielnią, jak piórem, jak błyskawicą — oto, zdawałoby się, ognisko naszych powszechnych pragnień, nasza tęsknota zbiorowa, nasz narodowy cel.

Gdy wypowiemy teraz słowo *demokracja*, to oznaczać ono nie będzie nic innego, jak tylko kierunek owych pragnień, wcielenie tej tęsknoty zbiorowej, urzeczywistnienia tego narodowego celu.

Istotnie, *demokracja* poza wszelkimi zaletami natury ekonomicznej, moralnej lub społecznej, *przedstawia tę korzyść kardy*[illegible]*wa rza maximum czynnych sił kulturalnych w społeczeństwie*.

Stworzenie tego „maximum“ jakże pilnym, jakże nieodwołalnym jest dla nas zadaniem! Jakiegoż trzeba wysiłku, jak wysokiego napięcia energji z naszej strony, aby zwycięzko odeprzeć wszelkie natarcia zewnętrzne, a jednocześnie wątka rozwoju wewnętrznego nie uronić, nie przerwać lub choćby tylko nie osłabić! Jakże nam nieraz brak, na rozproszonych samotnych placówkach narodowych, tych wytrwałych chłopskich ramion, ożywionych duchem obywatelskim, płonących miłością ojczyźnianą, jakże nam brak ich bywało obok siebie, w twardych godzinach służby społecznej...

Gdyby kraj nasz był głębiej zdemokratyzowany, gdyby lud wiejski tudzież proletarjat fabryczny stał się uczestnikiem kultury narodowej, nie byłoby wówczas żadnego sporu dokoła jakiejś

---

myśl „krajowy“, wzbogaćcie ubogie szwaczki, podtrzymujcie walcem i mazurem chrześcjańską filantropję!

O kury litosne i indyki wspaniałomyślne! tytułem przewodników narodu obarczone! ubogie szwaczki nic na waszych zabawach nie zyskają bo albo zaprzedały swój czas właścicielom wielkich magazynów, które niejeden już cichy karnawał przetrzymały z łatwością albo też w małych pracowniach szyją codziennie ubrania potrzebne w każdej porze roku. Nie zarywajcie tylko właścicieli pracowni płaćcie należne rachunki a nieszczęśliwe szwaczki z wdzięcznością patrzeć na was będą, choć byście zapomnieli o narodowym holupcu

Zresztą czyż wasze miłosierne serca nie zdobędą się na ofiarę?

Oddajcie część tylko karnawałowych wydatków na przytułki, na kuracje dla pracownic igły.

Żadne przeszkody na tej drodze nie stoją, nikt wam też nie przeszkadza tańczyć ile „dusza“ zamarzy w waszych salonach, tylko nie dręczcie nam uszu gdakaniem o doniosłości tańca w polityce narodowej.

Czyż skatingi, ślizgawki, konkursy hipiczne, a nawet gra w bilard nie mogłyby odegrać równie ważnej roli?

Proponujemy aby rycerze białego mazura sprawę tę wzięli pod obrady. Niech krótki karnawał nie zamyka w tych szczupłych ramach ich wrącej „żądzy życia“.

(St. M.)

Polska w liczbach.

Sprawa liczebności narodowościowej jest w dziedzinie zagadnień społeczno-politycznych rzeczą nader ważną.

Naogół, niestety, wszystkie obliczenia narodowościowe (szczególniej ludów podległych) są czynione mniej lub hardziej tendencyjnie. Jednak specyalną niedokładnością i tendencją odznacza się ostatnia statystyka słowian dokonana przez profesora kijowskiego Florińskiego, przytoczona prawie przez wszystkie dzienniki polskie—bez wszelkich sprostowań i komentarzy. To też spieszymy z wyświetleniami niektórych, rażących niedokładności—obarczających pracę rosyjskiego statystyka. Oto nadewszystko rzucają się w oczy archaiczne dane dotyczące naszego narodu, który wedle onych miał w r. 1911ym liczyć. . 21.700.000 głów; prócz tego pr. F. kwestjonuje polskość Kaszubów, nie zaliczając ich 370.000-ej gromady w poczet Polaków, czym zadaje kłam najoczywistszej rzeczywistości,

tam zdrady jakiegoś nowego Radziejowskiego, nie byłoby też mowy o Rydzynie i związanym z imieniem jej przeniewierstwie względem sprawy narodowej dwu mitr magnackich — w Poznaniu.

Zdrady i przeniewierstwa zdarzają się wszędzie i sam fakt ich trwogi nie budzi.

Co jednak budzić może trwogę i co bywa niekiedy złowieszcze, to forma reakcji, jaką się przeciwko owym faktom stosuje.

W armji sprawnej i walecznej, należycie zorganizowanej, ten kto przed walną rozprawą tył zechce podać, szeregów nie rozluźni, sam natomiast, zginie! Lecz biada armji takiej która na widok pierzchającego towarzysza, zastąpi mu drogę namową, sprzeczką lub wyrzutem i skłaniać zechce do powrotu i grozić... piętnem dyshonoru! Wszelka wymiana zdań w tym przedmiocie jest dowodem słabości ze strony zbiorowego organizmu, czy to będzie tym organizmem — wojsko, czy — naród, dowodem, że w organizmie owym powstały poważne braki, istnieją groźne niedobory, rozpaczliwe luki i spustoszenia.

W narodzie polskim, wskutek stuletnich błędów, rozwarła się luka dziejowa dotychczas jeszcze nie całkiem zapełniona: brak polskiego mieszczaństwa, jako historycznej przeciwwagi względem potęgi szlachectwa. O ten brak, o tę szczerbę w budowie Rzeczypospolitej, jak twierdzą pewne szkoły historyczne, potknęła się na schyłku wieku XVIII i padła nasza niepodległość państwowa. To pewna, że niedorozwój mieszczaństwa polskiego był tym wyłomem, przez który do kraju naszego wlewały się coraz nowe fale żydów i Niemców i wlewają się po dzień dzisiejszy.

Miasta i miasteczka nasze stały się w trzech czwartych obce polskości i niekiedy wrogie, przeważnie żydowskie, poczęści niemieckie. Rzecz oczywista, że tylko stały powolny dopływ świeżej ludności rdzennej ze wsi zdoła miasta nasze skutecznie i krok za krokiem polszczyć. Wieś, odrabiając straszne zaległości dziejowe, poprostu musi wyłonić ze siebie nową formację przemysłowo kupiecką, powołując do życia, z pięćsetletniem opóźnieniem, prawdziwą ludność polską w miastach.

Ale i ta wieś piastowska, uważana dotąd za ostoję polskości, za gniazdo pralechickie, za pień narodu, ulega z każdym rokiem wyraźniejszemu niebezpieczeństwu.

„Niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś zaciszna,
byle polska wieś spokojna..."

śpiewał jeszcze przed dziesięciu laty poeta, zamykający całą swą wiarę w okrzyku: „Chłop potęgą jest i — basta!" Dziś te śpiewne słowa stają się już anachronizmem. Wojna dotarła do zacisza wiejskiego; niejeden topór zahuczał o pnie lip i topól, strzegących zagrody włościańskiej. Pług niemiecki wrzyna się coraz głębiej w chłopskie zagony; gdzie brzmiała mowa Jana z Czarnolesia, tam rozlega się gwara kolonistów niemieckich.

Ten więc chłop, którego świeża niepożyta siła zapełnić ma i wyrównać luki dziejowe w naszym społeczeństwie, sam chwiać się zaczyna w swej odwiecznej kolebie. Odrywa go od ziemi rodzonej nędza, odrywa i pędzi za ocean głód...

Jeżeli lud co najrychlej nie uzbroi się w nowoczesne narzędzia pracy, jeśli nie podniesie wydajności gleby, która go żywi, jeśli się nie usamodzielni i nie uodporni społecznie, tedy pod względem narodowym czeka go taka sama klęska, jak ta, którą poniosła szlachta.

Lecz jakiż cud przemienić zdoła owe masy włościaństwa, pozostające w stanie potęgi utajonej, w potęgę ruchu, w energję żywą i czynną?

Odpowiemy znów jednym tylko słowem: *demokratyzacja*. Demokratyzacja społeczeństwa jest owym cudownym, jedynym kluczem odrodzenia narodowego, jest cudem transsustancjacji; ona surowy żywioł ludzki, pozbawiony samowiedzy i spójni organicznej, przeistacza w świadomych obywateli kraju. Demokratyzacja szczera i bezwzględna jest tą sprawą w kraju naszym zbawczą i ratunkową,

ponieważ wszyscy choćby trochę uświadomieni politycznie i narodowo Kaszubi (mimo swej, skądinąd, znacznej odrębności dzielnicowej) uznają się bezwzględnie za Polaków.

W latach 1900-ych powszechnie określała nas cyfra 19.125.000 (wedle prof. Niderlego z Pragi)— jako cyfra naszej liczebności.

Obecnie zaś jest nas na kuli ziemskiej około 26.155.000, z czego na ziemiach Polski, Litwy i Rusi—20.195.000. Najrozleglejszą i najbardziej przez zwartą masę polską zaludnioną krainą jest Król. Polskie wraz z etnograficznie polskiemi powiatami gub. grodzieńskiej bialskim, białostockim i częścią sokólskiego (o czym niestety nazbyt często zapominamy). Obecnie Królestwo liczy do 13.000.000 miesz. w czym do 9.750.000 Polaków; w granicach Litwy, Białejrusi i Ukrainy przeddnieprzańskiej skupia się do 2 miljonów 795 tys. Polaków; a na bezkresnych obszarach ziem Cesarstwa, to jest na wychodźtwie, przebywa wedle obliczeń djecezjalnych do 700 tys. Polaków, ogółem więc pod berłem rosyjskim znajduje się 13.245.000. W zaborze pruskim w r. 1905-ym było wedle spisu urzędowego skrupulatnie—3 miljony 714 tys. i 923 Polaków. W istocie jednak jest obecnie w Poznańskiem 1.400.000, na Śląsku 1.500.000, w Prusach Zachodnich 600.000 i nakoniec w ewangielicko-mazowieckim pasie Prus Wsch. przeszło 400.000 Polaków, a poza ojczyzną na wyrobku i wyzysku u kapitalisty w Nadrenji i Westfalji przebywa z górą 600.000 i w innych dzielnicach niemieckich do 200.000 co czyni wszystko razem w bilansie polskości zaboru pruskiego coś około 4.700.000. Zajrzyjmy również i do Galicji, gdzie mieszka jakieś 3.300.000 Polaków; o miedzę od nich rozpościera się 250 tysięczny zastęp Cieszyńskich rodaków i nieświadomych swego pochodzenia Polaków Spiża, Oraw i Liptowa, którzy w liczbie 200 tys. głów pod wszechmocną opieką madziarskich i słowackich księży—drzemią w półśnie narodowej niemocy. W państwie austryjackim znajdujemy również na wychodztwie i na Bukowinie ze 170.000, co da nam wespół z wyż. wyluszczonemi liczby 3.910.000 głów polskich.

Zbliżyliśmy się już do końca; lecz prawda!— Polska „chlubi" się jeszcze największym odplywem nędzarzy, których najwięcej chłoną amerykańskie, rozszalałe tryby kapitalistycznej machiny; porwały już one nam z górą 4.000.000 polskich wychodźców co ze stutysięczną gromadą osadników z parańskiego wyrazu i II-ą stutysięczną po świecie, rozwianą plejadą rodaków — da nam 4.200.000 Polaków—zamorskich osadników... *(J. K.).*

która niezmiernie rozszerzy liczbę Polaków, twórczo dla ojczyzny pracujących, a jednocześnie w każdym Polaku podniesie poziom — człowieka!

* * *

Trzeba ż nieszczęścia, że te właśnie myśli tak, zdawałoby się, proste, oczywiste i niepokonane, najtrudniejszy znajdują dostęp do głów polskich.

Powierzchownie, rozumie się, wszystkie stronnictwa hołdują hasłom demokratycznym, poczynając od demokracji Narodowej, kończąc na Socjal-demokracji.

W rzeczywistości, atoli, cóż widzimy?

Demokraci narodowi osłaniają sztandarem demokratyzmu s t a t u s q u o a n t e, pragnąc utrzymać nadal supremację klas posiadających nad ludem. Nieuleczeni próbami historji, wyłączają l u d poza nawias n a r o d u.

Błąd przeciwny popełniają demokraci społeczni, ci *naród* stawią poza nawiasem *ludu*, głosząc, iż lud nie ma ojczyzny, iż proletarjatowi ojczyzna niepotrzebna.

W wyniku cóż powstaje?

Zarówno ci, jak tamci, na prawym zarówno, jak na lewym skrzydle, z u b o ż a j ą n a r ó d o c a ł y l u d. Zubożają naród o cały ten zasób świeżych mocnych sił, które jedynie zdolne są go odrodzić, odmłodzić i pchnąć w nowe szlaki rozwoju. Zubożają go w takiej chwili, gdy z dwu stron szturmuje nieprzyjaciel do naszego domu, a w domu wybuchem pożaru grozi rasowa nienawiść.

W takiej chwili demokraci narodowi zagradzają ojczyźnie drogę — do ludu, pragnąc na zawsze zatrzymać przy sobie kierownictwo spraw publicznych w Polsce. W takiej chwili demokraci społeczni zagradzają ludowi drogę — do ojczyzny, zmuszając robotnika polskiego, aby idei burżuazyjnego państwa nienawidził nawet — w Jagiellonach, a tryumfom jej złorzeczył nawet — na polach Grunwaldu.

* * *

Wszelako trudno nie spostrzec, że dotychczasowe formacje polityczne, w postaci istniejących stronnictw, podlegają rozkładowi. Porewolucyjny wampir wyssał z nich krew; gniot ucisku rozmiażdżył je na atomy. Chwila obecna zdaje się wołać o stworzenie nowego wielkiego stronnictwa na podstawach czystej demokracji.

Tu atoli spotykamy rzecz dziwną.

Inteligencja nasza, miast garnąć się pod owe czyste, zbawienne dla nas hasło, przeciwstawia mu rozmaite twierdzenia i dowody, czerpane przeważnie ze zbiornika zachodnio-europejskich teorji filozoficznych i społecznych.

Z powodu braku oświaty wyższej w naszym kraju, przecięty został węzeł myślowy, łączący nas z Europą. Idee nowe przedostają się do nas jakoby ukradkiem, w powikłaniach i splotach przypadkowych, zazwyczaj w szatach sensacji, a więc przebrane do niepoznania.

Zdarza się nierzadko, że całe obozy i odłamy naszej opinji, z powodu ignorancji, ulegają fatalnym dla siebie nieporozumieniom w stosunku do prądów i kierunków myśli nowoczesnej na Zachodzie.

Zali nie byliśmy świadkami nagłego zaufania, z jakim nasz modernizm młodo-katolicki oddawał się pod opiekę Henryka Bergsona, uwiedziony olśniewającą tego filozofa krytyką intelektualizmu i głęboką jego czcią dla intuicji? Ten sojusz migawkowy zawarty został za sprawą Stanisława Brzowskiego, którego L e g e n d ę M ł o d e j P o l s k i poczytano za akt nawrócenia się na katolicyzm. Atoli sprawcy sojuszu tego nie spostrzegli snadź, że stając wraz z Brzozowskim pod patronatem Bergsona lub James'a, spalili za sobą mosty wiodące ku religji. Gdy bowiem filozofja jest stanem p o s z u k i w a n i a prawdy, religja jest stanem już — p o s i a d a n i a prawdy, a między dwiema tego rodzaju postawami ducha — niemasz pojednania!

Tego rodzaju niespodziane „pokrewieństwa z wyboru“ mogłyby nawet być ogromnie wesołe, gdyby — nie były tak ogromnie smutne. Jeżeli bowiem zdarza się, iż apostołowie konserwatyzmu u nas powołują się dla uzasadnienia swego stanowiska na idee przewrotowców (w metafizyce Bergsona tkwi ideologja syndykalizmu rewolucyjnego),

GUSTAW OLECHOWSKI.

FETYSZ.

Mister Vivien Dollar wyciągnął nogi na stół, zapalił cygaro i odsapnął z głębi swej amerykańskiej duszy.

— Nareszcie sam. Nareszcie wyszedł z pod opieki. Nareszcie w ręce jego niepodzielnie dostały się miljony, które nieboszczyk ojciec zrobił na dostarczaniu New-Yorkowi świń z nad wielkich jezior, a które pozwoliły nieboszczykowi ojcu ożenić się 20 lat temu (gdy jeszcze nie był nieboszczykiem) z francuską margrabianką o kilku przydomkach, zato bez jednego franka przy duszy, córką sławnego utracjusza i birbanta Markiza de Saint-Cyr de la Motte Quant-à-Cousin.

Stół, dźwigający nogi Mister Vivien'a służył również za odpoczynek nogom notarjusza Mister Monkey'a, który „oblewał“ w najszykowniejszym Niujorskim Salonie kolosalne honorarjum, otrzymane od młodego miljonera za szybkie przeprowadzenie postępowania spadkowego.

Kończyli już drugą butelkę szampana.

— Mister Vivien, będzie pan prowadził w dalszym ciągu business ojca?

Vivien roześmiał się głośno.

— Pan notarjusz widocznie nie przywykł do szampana, skoro druga butelka już mu zamroczyła w głowie. Really. Czy ojciec mój handlował kłapouchami po to, żebym ja musiał zajmować się świńskim procederem? Czy czterdzieści miljonów dolarów nie da mi możności poznania świata, życia, ludzi?

— Of course, da możność. Będziesz pan miał przeszło 1½ miljona renty.

— Renty? Pan żartuje? Czy ja jestem francuskim epicjerem? Renta! Dobre sobie. Ojciec mojej matki był markizem i bywał na dworach europejskich monarchów, mój ojciec był groszorobem. Ja muszę być i jednym i drugim. Naprzód więc zabawię się we francuskiego markiza, a potem, gdy już nic nie będę posiadał — oprócz

to, z drugiej znów strony, jednostki zaliczające się do obozów postępowych i walczące z suggestjami dawności, padają ofiarą równie złośliwych nieporozumień, próbując przyszłość budować na autorytetach wstecznych.

Źródłem powikłań tych jest nadzwyczajna komplikacja dzisiejszych prądów ideowych na szachownicy świata. Niema objawu społecznego, niema instytucji, niema urządzenia, któreby nie były jednocześnie ganione lub jednocześnie chwalone z dwu przeciwległych stanowisk.

Tak jest np. z wiarą w życiotwórczą doniosłość *mitów*. Mitologję, jako czynnik rozwoju społecznego, obalili pozytywiści. Dziś, atoli, jest ona pośpiesznie, wbrew pozywityzmowi, przywracana do życia na dwu przeciwnych biegunach osi przekonaniowej: na prawym biegunie podtrzymuje ją Pius X, opoka konserwatyzmu, na lewym - wskrzesza ją Jerzy Sorel, anarchista.

Podobnie rzecz się ma z demokracją, z tą, rozumie się, różnicą, że miast przyjaciół, znajduje ona na obu przeciwległych krańcach jednako nieprzejednanych — wrogów. Zwalcza ją skrajny konserwatyzm, i jednocześnie zwalcza ją skrajny rewolucjonizm. Dla uzupełnienia kontrastu dodajmy, że konserwatyzm wyklina demokrację — za jej rewolucjonizm, gdy skrajni, natomiast, rewolucjoniści zarzucają jej — konserwatyzm. Wyszedłszy ze straszliwie odmiennych stanowisk ultra-konserwatyści oraz infra-anarchiści spotykają się ze sobą na wspólnym polu, u szańca demokracji współczesnej, a spotkawszy się podają sobie dłonie do zgodnego—przeciw szańcom demokracji—natarcia.

Owa to właśnie biegunowa odległość założeń przekonaniowych, przy jednoczesnej zgodności w natarciu, staje się dla ogółu naszego źródłem niepokonanych antynomji, niepoiozumień i sprzeczności.

Czas wielki, aby źródło to prześwietlić, a na tle prześwietlenia owego jasno i dobitnie ukazać stanowisko demokracji współczesnej, w przeciwstawieniu do wrogów, uwydatniając szczytną jej rolę i zadania.

(C. d. n). *Stanisław Romanowski*

W zaborze pruskim.

(Ruch przedwyborczy na Górnym Śląsku. Ewolucya narodowo-polityczna tej dzielnicy. Kandydatury.

I.

Ze wszystkich trzech dzielnic zaboru pruskiego w chwili obecnej tylko jedna — t. j. Górny Śląsk—jest już zupełnie przygotowana do wyborów. W Poznańskim i w Prusach Zachodnich jeszcze trwa akcya przygotowawcza do ostatniego zamianowania kandydatów, przedłożonych najwyższej władzy wyborczej przez zebrania powiatowe Natomiast Górny Śląsk zamianował swych kandydatów we wszystkich okręgach.

Akcja ta skończyła się zupełną porażką narodowych demokratów. Napieralski i kierowany przezeń obóz „katolikowców" zwyciężył na całej linji. Wszyscy bowiem kandydaci polscy w Górnym Śląsku należą do obozu ugodowo-klerykalnego. Ta dzielnica jest zdobywana na centrum niemieckim dla „Koła Polskiego" przez „katolikowców", którzy przez tyle lat byli wiernemi pionkami i wykonawcami rozkazów centrum niemieckiego.

Proces zdobywania Górnego Śląska dla *polskiej* reprezentacyi politycznej zbliża się ku końcowi. Rozpoczął się on, jak wiadomo od żądania, aby partya centrowa stawiała w okręgach polskich kandydatów narodowości polskiej. Wobec stanowczego opierania się kierownictwa centrum przeciwko kandydaturom polskim, ludność polska wysunęła w paru okręgach własnych kandydatów. I ci uzyskali większość Tą drogą do klubu centrowego i w parlamencie Rzeszy i w sejmie pruskim weszło paru Polaków. Następnym etapem tej ewolucyi było stawianie takich kandydatów, którzy zobowiązywali się wstąpić po wyborze nie do klubu centrum, lecz do „Koła Polskiego". W ten sposób uczyniono wyłom w dotychczasowym poglądzie na Górny Śląsk jako na „własność" polityczną centrowców. Przy ostatnich wyborach odebrano partji centrum pięć okręgów górnośląskich, które wysłały do parlamentu Rzeszy posłów, zdecydowanych zgóry wstąpić do „Koła Polskiego". Polacy więc już zdobyli na centrowcach większość mandatów górnośląskich z terytoryum polskiego.

wspomnień, zabiorę się do robienia miljardów, jako prawy amerykanin. I zrobię je. W ten sposób podtrzymam tradycję obydwu rodów. A przytym — żyć z renty — to nudno. Trzeba robić miljony. A gdy się je ma, to się ich nie chce robić. Dla tego też żeby je robić, trzeba wprzód dojść do zera. Just american.

— You are jolly, mister Vivien.

Trącili się pełnymi szklanicami i notarjusz kazał podać trzecią butelkę.

Vivien był dotąd tylko w kollegjum i uniwersytecie, znał się doskonale na wszelkich sportach, ale na niczem więcej, to też z niezwykłym zaciekawieniem przyglądał się teraz ludziom i ich życiu.

Naprzód bawiło go niezmiernie, że przyjaciele jego, których się odrazu znalazło więcej, niż Vivien nazwisk ich mógł spamiętać, zawsze z nim byli very gentlemen, very smart, bardzo bezinteresowni po trzeźwemu, — stawali się zaś gburami, ordynusami i pożyczali od niego pieniędzy — gdy byli pijani. Doprowadziło go to do przekonania, że alkohol jest wielkim spowiednikiem ludzkości i że najlepiej poznaje się człowieka, gdy ten jest pijany. Po pijanemu ludzie się zdradzają z najtajniejszymi swymi pomysłami, wypowiadają wszystkie swe wtórne myśli, objawiają istotne swe instynkty. Człowiek trzeźwy jest dyplomatą i rachmistrzem życiowym, człowiek pijany — szczerym dzieckiem. Idealnie szczerą ludzkość stałaby się wówczas, gdyby świat cały zamienił się w bar, lub public house i wszyscy się jednocześnie upili. A może kiedyś ludzkość zwycięży w sobie obawę szczerości, wówczas alkohol stanie się zbytecznym. Vivien wyrobił sobie więc ten system, że gdy poznawał kogoś, naprzód zapraszał go do siebie na sute śniadanie, upijał go, sam pozostając trzeźwym, wysłuchiwał jego spowiedzi, żalu do świata i ludzi, poznawał jego zamiary, ideały, najskrytsze zamysły, potem sam mu ofiarowywał sposoby wyzyskania siebie, dowiadywał się, który ze sposobów najbardziej się tamtemu podobał, i wiedział już, skąd ma się od nowego przyjaciela spodziewać podstępu i podłości

Wkrótce wzgardził Ameryką, bo znudził go ciągle powtarzający się w różnych odmianach typ kolekcjonera dolarów. Jedni oszukiwali konsumentów, o ile byli kupcami i przemysłowcami,

Obecnie sięgnięto po dwa dalsze, pozostające dotychczas w ręku centrowców, mianowicie kozielsko-strzelecki i kluczkowsko-olewski. W pierwszym staje ks. Wajda, niepospolity mówca parlamentarny, człowiek, cieszący się wielką popularnością na Śląsku. Przeciwnika będzie miał w osobie dotychczasowego posła, księdza Glowatzky'go, jednego z najbardziej otwartych hakatystów katolickich. Zmycięstwo ks. Wajdy jest prawie pewne, gdyż już w r. 1907-ym ks. Glowatzky zdobył mandat dopiero w wyborze ściślejszym, kiedy go poparł cały obóz niemiecki przeciwko kandydatowi polskiemu, który zdobył względną większość przy wyborach głównych. Obecnie świadomość narodowa ludności polskiej poczyniła w tym okręgu znaczne postępy, wobec czego ks. Glowatzky na polskie głosy już zupełnie liczyć nie może.

Inaczej stoją sprawy w okręgu kluczkowko-oleskim. Tu świadomość narodowa dopiero się budzi w ostatnich latach i kandydat polski w r. 1907-ym po raz pierwszy zdobył zgórą 5000 głosów. Nadomiar złego agitacja polska jest ogromnie utrudniona skutkiem szalonej kontr-agitacji hakatystycznej księży Franciszkanów i nacisku władz popierających centrowców i sprzymierzonych z niemi konserwatystów. Kto wie wobec tego czy okręg ten zostanie już zdobyty przy najbliższych wyborach. W każdym razie jest to okrąg tak samo polski jak i pięć już odebranych centrowcom.

Są jeszcze dwa okręgi, w których kandydatury polskie mają szanse zwycięstwa. Jeden z nich to prudnicki, skąd przy poprzednich wyborach wyszedł chłop Strzoda, wprawdzie Polak, lecz w parlamencie należący do klubu centrowego. Reprezentuje on poprzednią fazę rozwoju świadomości narodowej Polaków górnośląskich w ramkach organizacji centrum. To ostatnie i teraz wysuwa jego kandydaturę, i polskie koła klerykalne nie przeciwstawiają mu wcale kontr-kandydata, zadowalając się jego polskością. Drugi z pozostałych okręgów — to raciborski, zaludniony w połowie przez nieuświadomionych narodowo Czechów. Tu Polacy i Czesi stanowią większość bezwzględną i ten kandydat zwycięży, który pozyska ich głosy. Nie może na to liczyć ks. Banaś, wysunięty przez Polaków, bo Czesi raciborscy po dawnemu idą na pasku centrowców—Niemców.

Dnia 18-go grudnia odbyło się posiedzenie polskiego prowincjonalnego komitetu wyborczego dla Śląska w celu zatwierdzenia kandydatów, ustalonych już na wiecach i zebraniach powiatowych. Dr. Biały, jeden z przywódców narodowej demokracyi, obecny na tym posiedzeniu, złożył na znak protestu wszystkie urzędy polityczne, jakie piastował. To samo już wcześniej uczynił inny kierownik N. D. górnośląskiej, dr. Seyda z Katowic. W ten sposób zamanifestowali oni swoją dezaprobatę kandydatur uchwalonych.

Te ostatnie przedstawiają się w sposób następujący:

Okrąg bytomsko-tarnogórski redaktor *Dombek* z Bytomia, prawa ręka Napieralskiego, jeden z kierowników polskiego ruchu klerykalno-narodowego na Górnym Śląsku.

Okrąg kotowicko-zabrski – prezes „Zjednoczenia zawodowego polskiego", *Sosiński*, niedawno przeniesiony na grunt śląski, jako „robotnik" mający sparaliżować energiczną agitację socjalistów za Biniszkiewiczem.

Okrąg pszczyńsko-rybnicki – najpewniejszy z okręgów polskich – hr. Maciej Mielżyński, agrarjusz poznański, który się „asekuruje" tu, wobec niepewnych losów mandatu z Szamotulskiego, gdzie również kandyduje.

We wszystkich innych okręgach kandydują sami księża: *Jankowski*, dotychczasowy poseł, w gliwicko-lublinieckim; *Banaś* — w raciborskim; *Wajda*—w kozielsko-strzeleckim; *Brandys*—w opolskim i *Kuczka*—w kluczkowsko-oleskim.

Obserwator.

„Ci, którzy wyszli".

Walka z potęgą i zachłannością klerykalizmu tocząca się dziś już w większości katolickich krajów Europy, wysuwa na porządek dzienny kwestję dość kłopotliwą dla antyklerykalnych obozów, mianowicie eks-księży.– Właściwie największy tryumf nowych prądów polegać powinien na tem, że one swych urzędowych przeciwników przeciągają na swoją stronę, a nic tak nie osłabia obozu nie-

drudzy brali łapówki, o ile byli urzędnikami, wreszcie trzeci i ostatni byli najsprytniejsi: to misjonarze, apostołowie, reformatorzy religji i kapłani wszystkich tysiącznych sekt, a także agitatorzy polityczni i wyborczy, bo ci suggestjonowali ludzi do dawania im pieniędzy dobrowolnie. To się Vivienowi wydawało największem szelmostwem. Zmuszać kogoś moralnie do płacenia — to wszak nie różni się od przymusu materjalnego z bronią w ręku. Przeciwnie nawet Bo na broń jest broń, a ludzie półcienmi wydani są na rzecz hypnotyzerów — z armji zbawienia — własnych kieszeni.

Zapragnął więc Vivien zwiedzić Old Europe. Wydawała mu się zabawniejszą z jej hierarchicznymi urządzeniami, z feudalnymi zabytkami, z całym aparatem tradycji, historycznych spuścizn i wielu other strange comedies, o których czytał w książkach.

Zmienił więc na gotówkę wszelkie majątki ruszające się i nieruszające się, złożył to w banku na rachunek bieżący — i wykupiwszy bilet I-ej klasy na parowcu Sky Lark, począł się zbliżać ku brzegom Europy po sino zielonych górach i ciemno szarych dolinach mokrej pustyni Atlantyckiej.

Aliści niespełna pół doby w drodze gdy był już statek — zorjentował się Mister Vivien, że doprawdy nie wypada mu do Europy najętym instrumentem przyjeżdżać — razem z czeredą kupców, emigrantów, starych Angielek z długimi zębami i turystami niższego rzędu, że on przecież powinienby własny mieć yachcik. Po ojcu odziedziczył tę właściwość, że szybko się decydował, skoro uznał coś za konieczne. Pomyślano — zrobiono.

W rzutach, skokach i piruetach, których mu zazdrościli gapiący się nań marynarze — dostał się po linach, drabinkach, poręczach, do kapitana, spoczywającego na swym mostku. Można było doń dotrzeć i prostą drogą, ale Vivien lubił ćwiczyć ciało przy każdej okazji.

— Panie kapitanie, musimy wrócić, back

Co pan mówi?

— Trzeba wracać do New- Yorku. Co to będzie kosztowało?

— Czy pan zadużo wypił?

Choćby nawet, to zawartość mego żołąd-

drzyjacielskiego jak dezercya jego oficerów. Z tego względu każdy ksiądz katolicki, który z przekonania porzuca swoje duchowne stanowisko i zrywa z Kościołem, winienby być witany z otwartemi rękami jako cenny sprzymierzeniec w antyklerykalnej armii.

Wiemy, że bynajmniej tak nie jest, mimo że ci księża-dezerterzy dla sprawy wyzwolenia umysłów i sumień nie małe już położyli zasługi. Zupełnie bezzasadnie wygłoszono u nas kiedyś zdanie, że świeckie społeczeństwo nigdy z nich nie miało pociechy.

Historja dostarcza dowodów przeciwnych i to z wszelkich epok przełomowych, w których ludzkość posuwała się o wielki krok naprzód na drodze urzeczywistnienia zasad wolności duchowej. I reformacya i rewolucya francuska i równoczesny z nią przewrót umysłowy w Polsce nie mało zawdzięczają tym, których Francuzi pogardliwie „les défroqués" lub „les évadés"—nazywają, a dla których polski język potoczny jeszcze żadnego nie stworzył przezwiska. Imiona Kołłątaja i Staszica niezatartemi głoskami zapisały się w dziejach polskiej kultury. We Francyi w najnowszych czasach Renan i Combes—każdy w innej dziedzinie i innemi środkami—dla zeświecczenia trzeciej republiki niemałe oddali zasługi. O tem wszystkiem nie wiele się pamięta i zawsze jeszcze ksiądz, który porzuci swoją suknię duchowną, znienawidzony i piętnowany przez wszystkich klerykałów, jako odstępca, przez obóz przeciwny przyjmowany bywa z nieufnością jako wielce ambarasujący nabytek. Tak jest u nas i tak jest widocznie i w okrzyczanej bezwyznaniowej Francyi, jak wnosić wolno ze świeżo po polsku opublikowanej książki, której tytuł podaliśmy w nagłówku.

Czem tę niechęć i nieufność wytłomaczyć? Czy wynika ona z odruchu moralnej odrazy dla ludzi zmieniających swe przekonania? Nie sądzę; odraza ta nieistnieje w wypadkach nawracania się bezbożników na łono kościoła katolickiego. Nie istnieje i w obozie wolnomyślnym względem świeckich osób przechodzących od żarliwej nawet wiary do niewiary, gdyż ten proces uważany jest za tak naturalny, zwykle nieuchronny, że na tem tle różne dziwaczne powstają teorye, jak naprzykład u rodziców niewierzących przekonanie, iż dzieci należy religijnie wychowywać, gdyż same w późniejszych latach wiary się pozbywają.

Kiedy chodzi o księży, wiemy jak wiele okoliczności łagodzących przytoczyćby można na usprawiedliwienie ich odstępstwa.

Rzadkie są wypadki, by człowiek dojrzały i doświadczony z pełną świadomością tego, co czyni, obierał zawód duchowny. Najczęściej o powołaniu decydują rodzice lub opiekunowie, wybierający zawód kapłański dla chłopca, niezdolnego ocenić doniosłych następstw tej decyzji; w seminaryach poddają go specyalnej tresurze duchowej zdala od wszelkich źródeł nauki świeckiej i wpływów światowych. Ta specyalna tresura i ta izolacya są dla hierarchji kościelnej niezbędne do utrzymania w jaknajściślejszej zależności swoich ludzi. W czasie tak zwanego w Prusach „Kulturkampfu"—najzawziętszy opór spotkało żądanie rządu, by księża katoliccy obowiązkowo odbywali studya uniwersyteckie. Wiedza ściśle kościelna pozostawia klerykom całkowicie nietknięte ubóstwo duchowe a zarazem czyni ich zupełnie niezdolnymi do jakiejkolwiek pracy poza kościołem, stąd zdaje ich na łaskę i niełaskę zwierzchowości duchownej rozdającej posady i synekury i jedynie zdolnej spożytkować te gdziendziej nieprzydatne na nic jednostki. W tem to właśnie tkwi cały tragizm ich położenia. Z czego ma żyć człowiek, któremu tylko religia dawała byt i stanowisko, jeżeli religię utraci lub zmieni?

Póki wypadki odstępstwa są rzadkie, sprawa mniej kłopotliwie się przedstawia; dla nielicznych wyjątków znajdą się nieliczne miejsca. O ileż trudniej jednak radzić wtedy, gdy rozpoczyna się masowa dezercya, a zjawisko to we Francyi już wyraźne i uderzające z czasem wystąpić może wszędzie, jeżeli zwłaszcza obecny kierunek w Kościele dłużej potrwa, a Pius X i kardynał Merry del Val przeprowadzą go konsekwentnie do ostatnich absurdów, ku którym coraz bardziej się zbliżają.

U nas oprócz kilku rozgłośnych wystąpień, dokonywa się stale wzrastający procent przełomów indywidualnych, rozegrywanych po cichu i wiadomych tylko wtajemniczonym. Ten lub ów ksiądz porzuca szeregi duchowieństwa i szuka cięższej i mniej korzystnej posady, darzącej go jednak wolnością osobistą i duchowem wyzwoleniem. Tem

---

ka nie wpływa na moje postanowienia. Zapomniałem chustki do nosa.

Kapitan nic nie odpowiedział, odwrócił się do Viviena łysiną i patrzył na horyzont.

Vivien wytłomaczył jednak kapitanowi, że on musi wrócić, że wszystkie straty kompanii okrętowej ureguluje, że pasażerom, których było kilkudziesięciu zapłaci odszkodowanie, a kapitanowi da łapówkę w ilości 100000 dolarów.

Teraz Vivien miał uciechę obserwując uniżoność kapitana, otwarte gęby pasażerów, gdy ci się dowiedzieli, że jest taki człowiek na świecie, który krocie dolarów pakuje im w kieszenie dlatego, że zapomniał chusteczki do nosa. Bo uwierzyli w to; trochę unikali Viviena, myśląc, że jest pomylony i że lada chwila wpadnie w furję, ale respektu nabrali doń nieomal jak do fetysza buszmeni, uczcili w nim symbol potęgi i ani się domyślali, że warjat ów najprzytomniej w świecie pracuje właśnie, by się tej potęgi pozbawić.

Vivien pragnął tego coraz bardziej, bo zaczynał rozumieć to, co dotąd czuł tylko, że jako bóg złota—nie wytrzyma—karmiony z kadzielnicy, że świat mu będzie zawsze obcy i fałszywy.

Gdy w New-Yorku wylądował, kupił zaraz yacht i dopiero podążył do Londynu.

Po pewnym czasie ujrzał w pismach portret swój, życiorys, oraz duże artykuły o tem, że z powodu zapomnienia chusteczki do nosa kazał wracać okrętowi, ponosząc miljonowe koszty. Ani myślał prostować tej bajki, którą sam zresztą puścił. Nazajutrz w Hyde-Parku podczas rannych spacerów pokazywano go sobie palcami.

Mr. Vivien dziwił się, że coś podobnego może ludziom imponować i zaczął od tej chwili lżej traktować podobnych do siebie dwurękich.

C. D. N.

łatwiej pracę znajduje, im lepiej utai swą przeszłość nie stanowiącą nigdzie dobrej rekomendacyi. Ogólnie rozpowszechnione jest mniemanie, że najczęstszym powodem porzucania stanu duchownego jest niechęć do celibatu; komu jednak wiadomo, jak mało krępującym jest w praktyce ten warunek w zasadzie tak ciężki, ten i w tych nawet razach nie może zaprzeczyć, że głównym motywem pozostaje chęć zerwania z obłudą i uzgodnienia życia z przekonaniami. — W innych razach widząc człowieka porzucającego stanowisko dogodne, korzystne, uprzywilejowane dla przykrego, uciążliwego i skromnego, nie wątpimy o jego bezinteresowności i o sile przekonań skłaniających do takiej abnegacyi. Nie ma powodu odmawiać tej wiary ex-księżom, kiedy najoczywistszą jest rzeczą, że porzucając zawód kapłański narażają się na ogrom przeciwności, których mogliby nigdy nie zaznać i dają rzadki dowód odwagi cywilnej.

(D. n.). *I. Moszczeńska.*

BADANIA NAUKOWE

Henryk Merczyng: „Polacy deisci i wolnomyśliciele za Jagiellonów“[1]).

Dzieje Reformacji w Polsce, szerszemu ogółowi zupełnie nieznane i przez historyków naszych pominięte, świadczą o potężnym ruchu umysłowym w epoce Jagiellonów, kiedy Polska nietylko pod każdym względem dorównywala krajom zachodnim, ale i przerastała je nieraz. Badacze piśmiennictwa polskiego z tych czasów zwracają uwagę na świetny rozkwit myśli i wiedzy religijnej w kraju, który dziś niema światu nic do powiedzenia, który w zakresie reform wyznaniowych nie wzniósł się ponad marjawityzm — a i do tego nierad się przyznaje — w dziedzinie zaś nauki o religji dopiero w ostatnich czasach otrząsać się poczyna ze stanu tępej, niegodnej nowoczesnego narodu, niewiedzy. Ale olbrzymiej należy dokonać pracy, zanim ta luka naszej umysłowości doszczętnie będzie wypełniona, do czego jednak nie kwapią się urzędowi dziejów naszych i myśli kustosze.

Tym większą jest zasługą p. Henryka Merczynga, że w ubiegłej coprawda rozprawie w *Przeglądzie Historycznym* wspomniał o „polskich deistach i wolnomyślicielach za Jagiellonów“ oraz tę rozprawę w osobnej odbitce wydał.

Nikomu nie było tajnym, że w najświetniejszej epoce Rzpltej, która zbiegła się z najbujniejszym u nas rozkwitem ruchu akatolickiego, powstał i rozwinął się polski wolterjanizm na 200 lat przed Wolterem, polski materjalizm na 300 lat przed Büchnerem i polski tołstoizm na półczwarta wieku przed śmiercią starca z Jasnej Polany. Dzięki jednak pracy p. Merczynga i źródłom, do których sumienny ten badacz dociera, możemy wytworzyć sobie nieco dokładniejsze pojęcie o tych zjawiskach, wśród których prądy wolnomyślne polskie w wieku XVI-ym szczególnie zajmować nas winny.

Jakoż myśl wolna w Polsce — dzisiaj przez pewne sfery za nalot obcy i wrogi uznawana i jako taki gorliwie tępiona — zakwitła bujnie w Złoty Wiek Jagiellonów. Świadczy o tym dokładnie cytowane przez Merczynga dzieło słynnego Czechowica, p. n. *Rozmowy Christiańskie* wydane w r. 1575-ym, gdzie pobożny ten pisarz arjański z wielkim impetem polemicznym, z niechęcią i obrzydzeniem wyraża się o tych, „którzy zaprzawszy się jaśnie pism Świętych naszego Nowego Testamentu, Jezusa Chrystusa odrzuciwszy i krew jego, krew, mówię, nowego z nami uczynionego przymierza podeptawszy i z niej się naprzód naszydziwszy *(o czym własne ich księgi świadczą, których dosyć między ludzi rozpisali)* rzekomo do Boga, do Mojżesza i do Zakonu ludzi wieść chcieli, aliści i tam wszystko porzuciwszy, do samego się kamiennego przykazania [2]) przywiązali. I to jeszcze nie dla czego innego, iż się ono, według ich powieści, *z Platonem, z Arystotelesem i z innymi pogańskimi Filozofy zgadzało.* W czym się jaśnie i Boga samego zaprzęli...

Niektórzy źli robotnicy z Pana Jezusa Chrystusa wybawiciela naszego to zedrzeć chcieli, żeby on nie był Mesyaszem, żeby z woli Bożej nie miał za nas wierzące śmierci skosztować, żeby nie miał być wzbudzony od umarłych, żeby nie miał żyć, a żywiąc królować ku chwale Boga Ojca Swojego.., którego błędu *bardzo się ich wiele jęło* i po dziś dzień jeszcze mnodzy przy nim upornie stoją. Przeto i ja... to przedsiębrał: jakobym matactwo to sprośne ludzi tych... *nie mianując nikogo* Pismy Swiętymi i ukarał i zburzył“.

Świadectwo Czechowica stwierdza więc, w dość drastycznej formie, zgodnej z tonem ówczesnych rozpraw religijnych, że Myśl Wolna w Polsce XVI-go wieku krzewiła się bezsprzecznie, że istniały pisane w tym duchu dzieła i druki, „których dosyć między ludzi rozpisali“, a które późniejsza reakcja katolicka zwykłym sposobem do cna wytrzebiła. Jakkolwiek Czechowic „nie mianuje nikogo“ w cytowanej książce, tym nie mniej na podstawie rzadkiego rękopismu arjanina Andrzeja Lubienieckiego († 1623), który jako współczesny prawie opowiada o ruchu religijnym za Zygmunta Augusta, Merczyng zdołał odtworzyć charakterystykę głównych kierunków ruchu a także wykryć i ustalić *nazwiska* pierwszych polskich wolnomyślicieli.

Oto brzmienie tego dokumentu:

„W tak krótkim czasie, w dziesięciu tylko lat ostatnich panowania Augustowego (1562 — 1572) w tak małym kącie świata, jako jest nasz kraj, nigdzie podobieństwa nie widzimy tego, co tu widzimy, żeby w kupie tak wiele nabożeństw: rzymsko-katolickich, greckich, ormiańskich, żydowskich, karaimskich, tatarskich, a nawet pogańskich było, jakie były w kraju naszym; samych heretyków natenczas było kilkadziesiąt i dosyć potężnych, co mały niektóre z nich ludzie uczone i możne po sobie, które z łaski Bożej tak poginęły, jako fundamentu żadnego nie mające, że jeno dwa zbory na placu zostały, tych, co się zowią *Ewangielikami* i tych, co się zowią *Chrystyanami* (Arjanie), oprócz religji Luteranizmu w Prusiech i Inflanciech między Niemcami, a i te są unijowane z Ewangielikami.

Było w onczas *Saskiej* albo *Luterskiej* religji niemało i między samymi senatorami i w majętnościach ich; już ich niemasz.

Było *Trydeistów* wiele, którzy słowo „Trójca Najśw.“ odrzuciwszy, trzy osoby Boskie wyznawali:

[1]) Odbitka z „Przeglądu Historycznego“ t. XII z. 3. Warszawa, tłocznia Wł. Łazarskiego, 1911

[2]) t. j. Dekalogu.

Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha św., a taki był *zbór wileński* i inne zbory litewskie i podlaskie, i tych niemasz.

Byli *Dwójbożanie*, Duchowi św. osoby nie przyznawając, Syna z Ojcem jednej istności być powiadali, z ojca, a drudzy zaś powiadali, że przed wieki urodzony był z Ducha św., jako osobą mają być przyznawali; a ci się najznaczniej na dwoje rozdzielili:

Bo jedni dzieci chrzcili, a tych wodzami byli: Kazanowski, Falconius, Zytynius, Tomasz z Wysokiego i Szadurski, a tych już znaku niemasz.

Byli zaś drudzy co dzieci nie chrzcili, a tych wodzami byli: Wiśniowski, Farnowski i Petriciusz, i ci poginęli...

Byli też, a mianowicie na Kujawach, którzy o Panu Jezusie powiadali, iż był on u Ojca przed wieki i ludzi dorosłych chrzcili, a w nauce usprawiedliwienia od innych wyżej wyrażonych różni byli, i dyscyplinę między sobą ostrą mieli, a tych na ończas wodzem był Jan Niemojewski i Czechowic.

Byli z holenderskiemi nowokrzcéńcami, którzy pod one czasy się do Prus sprowadzili... Byli ci którzy *morawską Komunię* (t. j. Komunizm) i opinie rozmaite wprowadzili i forytowali... Byli ci co w Trójcę św. wierzyli, jak jako się w rzymskiej katolice nauczyli, przyjmując w tej wierze Doktory i Concilia, a ci mieli rozmaite swe rozumienia, bo byli między niemi *Valdenses*, a u tych byli pospolicie Czechowie Ministrowie, którzy dyscyplinę w zborze swym mieli i tych niemasz, bo do większej kupy się przytoczywszy i dyscyplinę zgubili i samych nie widać.[*)]

Byli między niemi drudzy, którzy bez wszelkiej dyscypliny żyli, a przeto pobożnością od Valdenses dalej byli, a ci w naukach naśladowali jedni Zwinglijusza (reformowani) drudzy Melanchtona (luteranie umiarkowani), trzeci Ilyrium Flaccum (luteranie ortodoksalni)... I to wszystko ustało, ci w jeden zbór wszyscy dzisiejszy Ewangelicki się wnieśli i są sobie conformes.

Byli tacy, którzy usługowanie wszelakie we wszystkich nabożeństwach ganili, ukazując, że się nie godzi nic czynić, ani uczyć nikomu, chybaby miał z nieba objawienie, i abo cuda widział, abo sam je czynić miał moc. Taki był Śleszyński, Biliński, Łepiński, Albinus, Jan Baptysta i innych niemało, a i te Pan Jezus wykorzenił.

Byli i tacy, którzy i sami *zchłopieli, samą rękoma swymi robili*, plugawo chodzili, legali i jadali i za upodobanie Boże udawali, a nadęwszy się z tego inne wszystkie od żywota wiecznego odsadzali. I tacy sami poszli swą drogą, a więcej ich nie widać.

Byli drudzy, którzy ludzie zacne i pobożne wiedli do tego, żeby *urzędy porzucali, broń odpasali*, prawowania się w największym ukrzywdzeniu i przysięgi św. powtarzania zakazowali, wiele ludzi zacnych urzędy porzucali i majętności opuszczali i rozpraszali. A Ożarowski człowiek zacny w Sejm lubelski do króla przyszedłszy... oddał królowi przywilej na Przybysławice samoczwarte w lubelskiej ziemi... i zaraz o to prosił Jan Firlej Marszałek koronny, i uczynił tak król.

Byli zaś niektórzy, a ci dopiero potężniejsi w błędzie, a najwięcej był ich szatan rozsiał po Litwie, Białej Rusi, Podlasiu, Wołyniu i Ukrainie, którzy w Chrystusa Jezusa *nie wierzyli*. Więc jedni z nich zakon z Ewangielją pomieszali i drudzy zakon nad Ewangelję przekładali i Żydowstwo wprowadzili. Z tych niektórzy już sabatowali, niektórzy potraw tych nie jadali, których Żydowie nie jadają. A i te nasz Pan Jezus Chrystus nietylko konfundował przez sługi swoje, ale je tak zwiódł, że już i o jednym w naszych krajach nie wiemy. A tych wodzami byli: Piekarski, Paleolog, Budny, Glivius, Biliński, Garliński i Domaniowski i innych wielu ludzi uczonych..."

O tych więc „ludziach uczonych" a niewierzących, co to ich wiele „szatan rozsiał" po kraju w czasy owe, podaje Merczyng bliższe w dalszym ciągu szczegóły, taką je poprzedziwszy uwagą: „Ciekawem jednak jest to, że u nas myśli te nietylko powstały, ale drukiem je głoszono, wtedy, gdy wszędzie na świecie gorzały stosy hereyków..."

(D. n.) *L. Gorecki.*

*) Kościół Braci Czeskich, który zlał się następnie zupełnie z wyznaniem ewangelicko-reformowanym.

POEZJA.

Bogowie Grecji.

Hej! miesiącu, żar-kwiecie! W twym blasku
jak płynne złoto przelewa się morze;
jak baśń cudowna, na pobrzeżnym piasku,
legł tuman światła — w sen zaklęte zorze...
A nad nim, w górze, śród rozłogów
bezgwiezdnych niebios, płyną skroś lazuru
obłoki białe, rzekłbyś: cienie bogów
na wiatr rzucone — białe sny z marmuru...

Nie! nie! to — nie obłoki!
Są to, prawdziwie, heleńscy bogowie,
co niegdyś rządy świata mieli na swej głowie,
a dziś umarli, pognębieni,
nakształt straszących cieni,
wędrują — widma — o północy.

Olśniony cudem, spoglądam w zachwycie
na ów panteon podniebny:
jak sunie uroczyście niemy, w pustynnym błękicie,
milczący, pogrzebny.
Oto jest Kronjon, nieb władyka;
na śnieg zbielały dziś jego kędziory
nad czołem gniewnym, które gór przestwory
wstrząsało ongi gromem błyskawicy!
Dziś piorun, martwy, zgasł w jego prawicy,
ból śpi zaryty w skamieniałej twarzy,
i tylko duma w niej dawna się jarzy.
O! Zeusie, lepsze-ć były owe dawne czasy,
kiedyś, zaiste, bosko używał śród krasy
nimf i pacholąt, biorąc sute hekatomby!
Lecz i na bogów kres także przychodzi,
starych strącają młodzi,
jako ty sam strąciłeś ongi swego ojca,
i stryjów swych Tytanów:
Ty — Jowisz ojcobójca!

Poznaję ciebie także pyszna Juno!
Wbrew twoim czujnym zazdrosnym obawom

królewskie berło inne wzięły ręce!
I nie ty jesteś już królową niebios,
nie twoje oczy są jutrzenną łuną!...
Lilijowe ramię w zimnej stężało udręce,
i nigdy, nigdy zemstą nie dosięże krwawą
błogosławionej żywotem Dziewicy,
ni jej bożego Syna cudotwórcy.
Poznaję ciebie także, o Pallas Ateno!
Przecz-że twa mądrość i twój miecz zwycięski
nie mogły bogów uchronić od klęski?
Poznaję ciebie także, ciebie Afrodito!
bogini niegdyś złota, dzisiaj—srebrno-biała.
Choć dotąd czar miłosną zdobi cię ponętą,
ze zgrozą patrzę niemy na cud twego ciała,
uroda twoja zda mi się - - przeklętą!
I gdybyś mnie miłością uszczęśliwić chciała
jak bohaterów dawnych, umarłbym z przestrachu.
Bowiem, jak trup, wydajesz mi się tak blada
O Venus Libitina! [i sina,
Z dawną tęsknotą nie pojrzy w twe oczy
Ares bóg nieustraszony!
I Feb-Apollo smutkiem twarz swą mroczy;
umilkła jego lira; milczą słodkie tony,
które niegdyś niebianów serca i kielichy
napełniały ochotą. Milczy Hefest cichy...
Ha! nigdy nie zastąpi już Heby w urzędzie,
nigdy niebianom w czary nalewać nie będzie
nektaru!...
Ongi niemilknące śmiechy
dawno już ostatnimi rozwiały się echy...

Ja nie kochałem was nigdy, bogowie!
albowiem Grecy zawsze są mi wstrętni,
a Rzymian - nienawidzę!
Ale grom żalu uderza mi w serce,
i czuję litość, kiedy was tak widzę,
o, bogowie smętni,
w tułaczej poniewierce,
nakształt upiornych cieni,
gnanych od wichru przez północne niebo!
A gdy pomyślę, jak szarzy i mali
są ci bogowie, co was pokonali,
jak opłakani, boleśni, ci — nowi mocarze,
zgryźliwi, a pod owczą pokorą — okrutni!
To gniew i pomsta w piersi mej powstawa,
chciałbym ich nowe świątynie rozwalić,
przelewać za was krew, prastare bogi,
za wasze słodkie, ambrozyjskie prawa;
i, na cześć waszą dźwignąwszy ołtarze,
ofiarne ognie nanowo rozpalić,
i - w uniesieniu paść przed święte progi,
modląc się w dymów kadzidlanych żarze!...

Albowiem wy, o, bogi starożytne,
biorąc przed wieki udział w wojnach ludzi,
staliście zawsze po zwycięzkiej stronie;
wżdy człowiek od was jest wspanialszy duszą:
więc gdy się losy bogów zmagają i kruszą,
Ja staję, dzisiaj, w obronie
zwyciężonych bogów.

To rzekłem, — i widać było, jak tknięte ru-
spłonęły w górze obłoczne upiory, [mieńcem
i konające, ku mnie obróciły wzrok
prześwietlony cierpieniem, i nagle
zachwiały się — i przepadły w mrok.
Miesiąc skrył się właśnie za przestwory
sklepienia, które ciemność całunem oblekła.
Szeroko westchnęło morze.
Na niebo zwycięzko wstąpiły
wieczyste gwiazdy.

Henryk Heine.

Przełożył W. *Rzymowski.*

KRYTYKA.

Zza kulis krytyki literackiej.

I.

Pewien, zaiste godny nagrody Nobla, dowcipniś rzucił myśl, że należałoby wynaleźć maszynkę do palenia papierosów, aby — skoro już papierosy muszą być wypalone - ludzie sobie przynajmniej płuc niepsuli. W dziedzinie literatury ten ideał jest omal że spóźniony. Społeczeństwo nie jest względem swojej literatury tak cyniczne, jak jeden z moich znajomych, który powiada, „Nie dość, że kupuję książki, mam je jeszcze czytać?" — ono całkiem spokojnie książek ani nie kupuje, ani nie czyta, a skoro już koniecznie ta ogromna masa bibuły ma być przetrawiona, to jest na to specjalna maszynka — krytyka. Ona jest społeczeństwa literackiego podniebieniem i żołądkiem. Ale, bojąc się, aby mnie który nowoczesny socjolog nie zaliczył do szkoły Schaefflego, cofnę się przed dalszymi analogiami z fizjologji i wygodniej będzie mi raczej nawiązać do nieznanego zresztą szkicu socjologicznego p. Sterlinga o dawnej instytucji płaczek, które miały sobie poruczone rozpaczać po zmarłym, w zastępstwie „śmiejących się dziedziców". Tak i społeczeństwo ma potrzebę uregulowania swoich uczuciowych interesów: i podobnie jak uczucia patrjotyczne odrabia w pewnych stałych dniach, tak i do takich robót, jak załatwienie literatury, wysadza osobną instytucję: krytykę.

W miarę tego, jacy ludzie robią krytykę, łączy ona społeczeństwo ze swą literaturą, lub dzieli. Może zamurować pisarza, jak wojewoda Mazepę, może się wedrzyć za nim po orlej perci na zakazane szczyty i przynieść o nim wiadomość. O współczesnej krytyce literackiej w Polsce napisał Brzozowski jedną z najlepszych i najprzystępniejszych swych książek i przejechał się w niej przez naszą krytykę, ale na tak wysokim koniu zasadniczym, że wiele chwastów i pniaków pominął, albo tylko podeptał, lecz nie wyrwał. W tym względzie mam zaufanie raczej do pracy pieszej, bez załaczania zbyt dalekich horyzontów. Z książki zacytuję zdanie: „poprzez dzieła sztuki i sądy o nich ustalają się najszczersze, najgłębsze stosunki między ludźmi"— lecz wezmę je w znaczeniu raczej towarzyskim, niż tym filozoficznym, jakie mu chciał nadać Brzozowski. Krytyka, i to nie tylko u nas, jest raczej obcowaniem z autorami niż ze sztuką. Jest to zupełnie uzasadnione jak właśnie Brzozowski w częściach zasadniczych swej książki udowadnia — i uschnięcia starych przesądów, że należy twórcę

oddzielić od dzieła, że należy sądzić sine ira et studio i t. p., niema co żałować. Ale obcowanie krytyka z autorem, zwłaszcza poetą na gruncie jego dzieła, poza właściwą pracą krytyczną, czyli, jak chce Brzozowski, poza systematyzowaniem dostarczonych przez poetę nowych wartości- poddane jest także ogólnym psychologicznym prawom obcowania dusz ze sobą, prawom, które w tym wypadku, jako że działają między ludźmi najsubtelniejszymi, wćwiczonymi w. konflikty duchowe, więc wytwarzają osobne kombinacje stosunków międzyludzkich, cichych, lecz bodaj że zarówno obfitych i dramatycznych, jak stosunek dwojga zakochanych do siebie. Zrozumienie i niedowidzenie, pochwała i nagana, wyznaczenie rangi i miejsca, zachwyt i potępienie mają tu sto różnych odcieni; zasada homo homini lupus, objawia się w rozbijaniu prostą pałką na gładkiej drodze i w ukłóciach zatrutym sztyletem — obok najpiękniejszych, najodważniejszych, do szpiku przejmujących hołdów i aktów wdzięczności. Nietzscheańska wola do potęgi występuje tu, jako żądza sądu. Rozum i charakter formują sąd krytyka w różne postacie arogancji, perfidji, lojalności, łaskawości, czy też sprawiedliwości, masą różnych chwytów duchowego dżiu-dżitsu, a nietylko zagadnienia estetyczne, lecz i wzgląd na różne konstelacje społeczne czy osobiste stawiają krytykom nieraz arcytrudne problematy, które się częściej eskamotuje, niż rozwiązuje — choćby z braku miejsca w gościnnej gazecie

(D. c. n.) *Karol Irzykowski.*

Świeży powiew ze sceny.

(Teatr Rozmaitości: „Sąd" sztuka w 3 aktach p. Czesława Halicza. „Sąsiad"—sztuka w 1 akcie p. B. Gorczyńskiego).

Kiedy Jan w sztuce p. Czesława Halicza wraca do domu po kilku latach odsiadywania kary w więzieniu, to wraca jako człowiek, który tę karę odsiedział jakoby w ciągu jednej doby, nie zaś w ciągu długich i uciążliwych lat. Nie wnosi on z sobą na scenę przeżyć więziennych, śladu długich godzin przebywania w zamknięciu, w samotności lub w towarzystwie osób, które, choć wcale nie są tak czarne, jak się to wydaje zgorszonemu filistrowi, lecz są inne, mają psychikę odrębną i wywierać muszą tę lub ową reakcję. Tymczasem na Janie nie znać wcale reakcji więziennej. Wraca on z więzienia, jak z nocy balowej. Karę odsiedział. Sprawiedliwości stało się zadość. Chce nie tylko przebaczenia, lecz zapomnienia o tem, że był niegdyś złodziejem. Lecz tego zapomnienia rodzina dać mu nie może. Członkowie rodziny pamiętają mu jego złodziejstwo, poczynając od starszej siostry, która go za nie nienawidzi i gardzi nim, a kończąc na matce, która chciałaby o wszystkiem zapomnieć, a nie może. To stopniowanie w złej pamięci odmalowywa autorka (p. Czesław Halicz jest kobietą) wybornie w kilku postaciach rodziny, wśród których szczęśliwym wyjątkiem prostoty serca jest siostra młodsza Jana — Dosia. Ta brata swego nie sądzi, jeno kocha go i ufa mu. Prócz tego wprowadza autorka postać wysoce niemiłej panny Jadwigi, nauczycielki, biegającej po lekcjach, która, rzecz prosta, przez całe życie nikomu nic prócz dobra nie życzy, jest pełna zasad nieskazitelnych, i niezłomnych. Jedna z wielu nieznośnych, ogromnie czystych rezonerek, którą każda istota naprawdę żywa, umiejąca żyć w pewnych chwilach na własną odpowiedzialność, po za obrębem szematów i przepisów, odczuwać musi jako coś nieznośnie ułomnego i odrażającego. Na przeciwległym biegunie stoi niegdyś „panna Marja",—dziś rzekomo baronówna, spalająca się w żarach gorączki życiowej, istota wolna, żyjąca chwilą i mówiąca najpiękniejszym w sztuce językiem. (Tak, to niestety! Trzeba się wyrzucić poza szranki społeczne, aby odzyskać piękno języka, krępowane przez tysiące bandaży ochronnych!). Autorka ma szczęśliwy dar umiejętności charakteryzowania. Pominąwszy Jana, który jest tu wprowadzony więcej jako ferment, niż jako naprawdę żywa osoba, inne postaci żyją samodzielnie. Jan ze swą egzaltowaną żądzą pozyskania rodziny jest najbardziej teoretyczny. Zresztą, może to jest skutkiem jego monomanji—choć bardzo szlachetnej, lecz bądź co bądź nieco go manekinizującej. Wraca on nieustannie do tego samego, jak manekin. W dusze tamtych ludzi rzucił zarzewie niegasnące—podejrzliwości, obawy, przygnębienia i chodzi mu ogromnie o to, żeby to zarzewie do cna ugasić. Dlaczego chodzi mu o to tak bardzo? Bo to jego rodzina, rzekomo ludzie najbliżsi. Jeżeli najbliżsi nie dadzą mu zupełnego odpuszczenia, czegoż może oczekiwać od dalszych? Dopiero profesor z Krakowa, przed którym Jan się wypowiada i staje jako oskarżyciel swoich najbliższych, otwiera mu oczy. Żądasz cudu—mówi mu, lecz ci twoi najbliżsi to są ludzie tylko i nic więcej... Lecz stary profesor nie ma słuszności. Cud jest całkiem możliwy. Niemało znajdzie się osób na szerokim świecie, którzy w Janie ujrzą brata i poznawszy jego historyę—zapomną, nie będą się włóczyć podejrzliwie a nieufnie śladem jego stóp, czy czasem nie popełni nowej zbrodni. Nie będą mieli oczu tak dziwnie skonstruowanych, że ilekroć zajrzą weń, nie ujrzą tam wielu rzeczy pięknych, lecz ujrzą niechybnie jedną—jego stary, przed wielu laty popełniony występek. Tu właśnie tkwi słabość pierwiastku dramatycznego w sztuce p. Czesława Halicza, że dość jednego kroku i jednego śmiałego spojrzenia, a Jan będzie ocalony. Ten krok—to wystąpienie z rodziny, skoro oczy przekonały się, że ci, których w prostocie serca mamy za naszych najbliższych, w istocie są naszymi dalszymi i najdalszymi i są nieprzejednanie przeciwko nam. Błąd p. Halicza polega na tem, że, aby uczynić Jana dramatyczniejszym, rozdyma jego małe niepowodzenie rodzinne do rozmiarów wielkiej katastrofy. Tymczasem w położeniu Jana, choć dla innych powodów, codzień znajduje się tysiące osób i zawsze zdrowy instynkt życiowy przekonywa jednostkę, że chociaż mieć swoich najbliższych właśnie w kole rodzinnem jest zachcianką bardzo miłą, lecz w rzeczywistości tych najbliższych trzeba szukać po szerokim świecie.

Dramat Jana jest więc właściwie tylko przykrością istoty osiadłej, którą wyższe apetyty (potrzeba ciepłych serc, dusz bratnich, zrozumienia etc.) zmuszają do wędrowania.

Lecz sztuka p. Czesława Halicza ma dużo cennych zalet. Największą jej wartością jest to, że czuje się w autorce duszę żywą, w uczuciu gorącą, w dziedzinie wyobraźni piękną, jasną, subtelną, daleką od wszelkiej martwoty. To wszystko czuje się wskroś błędy autorki i to sprawia, że nawet błędy piękniej tu „śpiewają", niż gdzieindziej „cenne zalety sceniczne".

Wieczór, oddany p. Czesławowi Haliczowi, rozpoczął się od obrazka p. B. Gorczyńskiego p. t. „Sąsiad". Jest to historja człowieka, który zazdrością i podejrzliwością zadręczył swoją żonę, a po

jej śmierci dręczony z kolei wyrzutami sumienia idzie do sąsiada, szukając na chybił trafił, czy czasem też nie jest jej domniemanym kochankiem. Bo jeżeli jest, to sumienie pośredniego zabójcy dozna ulgi, że bądź co bądź miał rzetelne powody do torturowania swej ofiary. Lecz próżno sonduje sąsiada i chce mu wydrzeć tajemnicę prawdy. Odchodzi z niczem, by zapewne ciągnąć dalej poszukiwania.

Rzecz ta, w której jedna postać wybucha, atakuje, a druga — broni się, cofa, zawija w coraz to inne płaszcze, wymaga niesłychanie wysokiej maestrji ze strony autora. Tu trzeba, zapomniawszy o wszystkiem, pogrążyć się z głową w namiętność, rozkochać się w jej życiu, w jej wirach, w jej wyciu, w wynurzaniu się i gaśnięciu gwiazd nad głową oszołomionego człowieka. Tu trzeba, aby widać było, że człowiek to tylko podłoże, na którem namiętność rozwija się, żyje jak upiór i trawi jak bakterje dżumy.

Słowem, mojem zdaniem temat p. Gorczyńskiego był bardzo pięknym powodem do roztoczenia w całym blasku zdolności psychologicznych. Lecz autor potraktował tę sposobność niedbale...

Leon Choromański.

Niecierpliwa analiza.[1]

Rozprawka Grubińskiego o „Klątwie" nasuwa czytelnikowi zagadnienie często podnoszone w dziedzinie krytyki literackiej, czy krytyk ma prawo rozbioru dzieła ze stanowiska swego własnego ideału, do którego dociąga braki i wady kompozycji autorskiej. Czy ma zachodzić w wypadku oceny współtwórczość, poddanie się działaniu i suggestji autora i barwienie dzieła własnymi, podmiotowymi wzruszeniami, czy też ocena ze stanowiska *możliwej* doskonałości tworu artystycznego.

Grubiński ulega stanowczo temu drugiemu sposobowi patrzenia na twory sztuki i analizując autora nie wżywa się w jego własną kompozycję, lecz wybiera najdogodniejszy dla każdego krytyka aprioryczny punkt widzenia i oparłszy się na nim puszcza cugle swym własnym, bez podmiotowego wzruszeniowego czynnika zapędom twórczym. Analizą tego chyba nazywać nie można, gdyż krytyk postępuje w wypadkach podobnych zawsze szablonowo, nawet jeśli ten szablon jest wypływem jego własnych przekonań. Wyspiański, jako samodzielny twórca przestaje dla autora szkicu istnieć, bezpośrednia wartość utworu niezależna od czysto przypadkowych uogólnień idealnych, zanika na korzyść czysto osobistych upodobań twórczych. I to jest w szkicu p. Grubińskiego zdaje się zasadą chybioną. Winną tutaj jest twórcza działalność oceniciela. Krytyk może wyczuwać nieudolności może mieć poczucie niedoskonałości dzieła, lecz nigdy nie powinien dawać autorowi zwłaszcza nieżyjącemu wskazówek kompozycyjnych w odniesieniu do treści, gdyż każda wydana książka jest rzeczą niecofniona i podobne postępowanie wobec niej wydaje się co najmniej bezużytecznem. Da się to usprawiedliwić jedynie tem, że autor jest też twórcą i wre w niem owa niecierpliwość krytyczna w stosunku do książek cudzych. Chciał by widzieć wszystko dociągniętem do własnej normy.

[1]) Wacław Grubiński: o „Klątwie" Wyspiańskiego. Warszawa 1911.

W krytyce jest to łatwiejsze jednak, posiada się bowiem gotową kompozycję, w twórczości zaś samodzielnej błędów prawie uniknąć niepodobna. Rzecz p. Grubińskiego ma wartość twórczą, a to w znaczeniu dociągania możliwego piękna i harmonji, taki jednak sposób krytykowania jest zawsze czemś drugorzędnem, co najmniej nie odpowiedniem dla wysokiego zadania krytyki literackiej. Możemy wytykać błędy, wolno nam wydawać niczem nieskrępowany sąd o rzeczy, ale do punktu, gdzie zaczyna się osobista własność pomysłu.

Stanisław Baczyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

⁂ *Ex Occidente Lux*... W Stanach Zjednoczonych Am. Półn., wśród 4 miljonów Polaków, zbudził się nareszcie odruch żywiołowego buntu przeciw bezczelnie chciwemu duchowieństwu, a zwłaszcza przeciw irlandzkim i niemieckim biskupom, którzy silni niezmierną swą władzą dopuszczali się względem potulnych polskich parafjan wprost nieprawdopobnych nadużyć. Czytelnicy *Prawdy* znają te stosunki zaoceanowe, bo nieraz tu o nich pisano. Obecnie zaś i prasa zachowawcza, widząc, że milczeć nie wypada, głucha i ślepa na to, co się dzieje w parafjach pod jej bokiem, poczyna rzucać badawcze spojrzenia na tamten brzeg Atlantyku i uderza w ton ledwie dosłyszalnej, truchlejącej od własnej odwagi, opozycji antyklerykalnej. Oto np. co pisze *Głos Warszawski* piórem amerykańskiego swego korespondenta:

> Jednocześnie z drugiej strony mamy poczynanie inne, doniosłe, nurtujące już dawno, ale obecnie stojące jaskrawo w świetle dziennym — to sprawy stosunku ludności polskiej do swych (?) biskupów. Chodzi o kościoły polskie, zapisywane na biskupów, jako własność, mimo naturalne to, iż składają się na nie miljony polskich groszy. Zarządy parafji nie dopuszczają żadnej kontroli nad sobą parafjan świeckich i władze kościelne gospodarują bez zastrzeżeń, a ponieważ w tych stosunkach zdarzają się nadużycia coraz częstsze, powstają więc zatargi ostre, gorszące, hańbiące nieraz, z wtrącaniem się sądów i władzy policyjnej. Oto w Pensylwanji powstał ruch zbiorowy polskiego ludu przeciwko władaniu biskupów z żądaniem zapisywania kościołów, jako własności parafjan. Biskupi próbują traktować to, jako schizmę, grożą zamknięciem kościołów etc. Zapowiada się rozprawa w sądach, długa, przewlekła i kosztowna, a tymczasem rozjątrzenie, fatalne zaognienie stosunków, procesy etc.
>
> Jako echo tych zaburzeń w Pensylwanji, powstaje równolegle akcja zorganizowana w przeciwnej stronie kraju — w Milwaukee, Wis, gdzie w imię potrzeby posiadania własnych polskich biskupów i zapisywania kościołów na rzecz ludu — organizuje się nowe zrzeszenie pod nazwą „Stowarzyszenie katolików świeckich", mających zbiorowo wystąpić z żądaniem na rzecz wyżej wzmiankowanych celów. I tak mamy w związku powstanie nowego obozu parafji, który na sztandarze swym stawia walkę z duchowieństwem.
>
> Kto zna powikłanie życia na wychodźtwie, ogromną władzę i wpływ duchowieństwa — prze-

widywać może nie zwycięstwo nowej organizacji ale jeszcze jeden nowy podział, rozłam polskiego życia, nowy czynnik walk, nienawiści, waśni. Niewątpliwie obie sprawy zasadnicze: posiadania dla 4-miljonowego wychodźtwa polskich biskupów, oraz kontroli parafjan nad użyciem grosza i dawanych hojnie ofiar — są słuszne i sprawiedliwe; przypuszczać jednak można, iż całą tę sprawę domosłą, nie nagle, ale stopniowo dałoby się przeprowadzić, być może, jako akcję łączną przed Rzymem polskiego ludu wraz z polskim duchowieństwem.

Miejmy nadzieję, że wbrew tym przypuszczeniom, lud polski w Ameryce, nauczony gorzkim nieraz doświadczeniem, zamiast kornej do Rzymu instancji, wypowie mu walkę otwartą i zwycięży — w imię swej narodowej, kulturalnej i wyznaniowej samodzielności.

*** *Odkrycia etyczne „Głosu Warszawskiego“.* W głównym organie endecji, z natężeniem wszystkich władz umysłowych i z niezmiernym skupieniem uwagi wykłada ktoś od pewnego czasu „o różnicach między przepisami moralnymi, obowiązującymi w stosunkach osobistych a międzynarodowych.

Kto dla zysku osobistego, rabunku lub zemsty zabije swego bliźniego, jest „łotrem“; kto zaś na wojnie zabije nieprzyjaciela, spełnia swój obowiązek, kto zabije wielu nieprzyjaciół, lub obmyśli sposoby, do tego celu wiodące, jest nagradzany, zyskuje sławę i honory.

Kto bliźniemu ukradnie jakiś przedmiot, jest złodziejem; kto zaś zabierze z mandatu narodu, czy państwa, do którego należy, kawał terytorjum, lub też kraj cały sąsiada, o ile to terytorjum dla rozwoju i bytu jego własnej ojczyzny jest potrzebne, ten jest patryotą, przewidującym polityklem (Włosi w Trypolisie, Anglicy w Transwaalu itd.).

Kto sfałszuje dokument w stosunkach osobistych, ten jest „łotrem“, sfałszowanie depeszy nie przeszkodziło Bismarkowi w tym, że jest uważany za jednego z największych synów swej Ojczyzny.

Kto w stosunkach osobistych szachruje i oszukuje innych, jest potępiany; a wszak mówienie nieprawdy, wyprowadzenie innych w pole i t. d. są zwykłymi sposobami, używanymi przez dyplomację wszystkich krajów.

Subtelne swe rozumowanie sprowadza moralista *Głosu W.* do następujących wniosków: kto, w życiu politycznym, nie chce być befsztykiem dla innych, ten musi być ludożercą. Zapomniał jeno przytomny polityk o jednym szkopule: gdy już „befsztyków“ nie stanie, wówczas mocniejsi ludożercy zaczną pożerać słabszych, mimo głośnych z ich strony reklamacji, że nie są „befsztykami“ i abonują *Głos Warszawski*...

Rzecz szczególna: zdając sprawę, w roku zaprzeszłym, z *Wirów* Sienkiewicza, drukowanych w tej samej gazecie, wyraziliśmy przypuszczenie, że niezadługo z jej łamów zacznie się propagować antropofagję — „ku pokrzepieniu serc“. Przepowiednia rychło się sprawdziła.

*** *Ośla łąka.* Antysemicki i klerykalny *Dziennik Powszechny* potępia szał nocy noworocznej w dość nieoczekiwany sposób:

Mówią, że taka jest moda, że tak się dzieje w noc Sylwestrową w wielkich środowiskach Wschodu i Zachodu. Być może, ale czy to jest przykład do naśladowania? Żydzi w ten sposób swojej nocy noworocznej nie spędzają.

KRONIKA.

LICZEBNOŚĆ ŁODZI. Jak wiadomo, policja łódzka dokonała jednodniowego spisu ludności miasta i przedmieść, należących do cyrkułów policyjnych.

Liczba ludności w mieście i na przedmieściu wynosi 507,765 osób, w tym 228,000 dorosłych (ponad lat 14) oraz 179,765 dzieci.

Według wyznań liczba ludności dzieli się jak następuje: katolików 262,539, prawosławnych 6,033, ewangelików 67,919, żydów 166,028, marjawitów 2,868, baptystów 1,251, braci morawczyków 81, adwentystów 19, mahometan 333, ewangelików reformowanych 752 i 2 gregorjańczyków.

POŻYTECZNA INSTYTUCJA. Jest nią „Tow. Kursów naukowych“ w Warszawie. Otóż wedle sprawozdania za rok ubiegły było na wyższych kursach naukowych 73 wykładowców.

Słuchaczów i słuchaczek było w pierwszym semestrze 919 osób (mężczyzn 300, kobiet 619), w drugim semestrze 794 (mężczyzn 252, kobiet 542). Najwięcej słuchaczów miała sekcya humanistyczna (524), sekcya matematyczno-przyrodnicza miała słuchaczów 59, techniczna—90 i rolnicza 90. Tytułem czesnego za słuchanie wykładów słuchacze ci wnieśli 22,955 rb. Suma ta w całości użyta została na wynagrodzenie wykładowców.

Inne wydatki, związane z organizacyą kursów, pokryte zostały ze składek i ofiar członkowskich. Pod tym względem rok ubiegły był pomyślny. Osiągnięto rb. 5,620 nadwyżki, wskutek czego majątek Stowarzyszenia wzrósł do sumy [illegible] rb.

OFIARY.

Na Gniazda Sieroce od następujących pracowników T-wa Nikopol Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Foreaus rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, p. Mitrocki kop. 50, p. Swieliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, A. Czaykowski rb. 1, S. Krotkiewski rb. 1. Ogółem rb. 56, kop. 25.

Książki nadesłane do Redakcji:

Mieczysław Finkelstein-Ziębowski: „Pieśń kobiety“ (Pieśni słoneczne II). 1912. Skład główny w księgarni Jana Fiszera. Str. 106.

J. Barbey d'Aurevilly: „Zemsta Kobiety“ i inne utwory z cyklu: „Les Diaboliques“. Przełożył Leon Choromański, 1912. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka, Lwów, H. Altenberg. Str. 326.

Aleksander Świętochowski „Źródła moralności“. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1912. Str. 302.

O G Ł O S Z E N I A.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

Za zmianę adresu [illegible] 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj [illegible] nieopłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach

Administacja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Szeroko Krzyska 11.